Nr. 1 (4) Warszawa, dnia 28 sierpnia 1938 r.

Cena 20 gr.

POLSKA MYŚL NIEZALEŻNA

TYGODNIK

Jaki obywatel — taka Rzeczpospolita

Naszą myśl ideowa

Biorąc do ręki nasz tygodnik, każdy z czytelników — starszego zwłaszcza pokolenia — przypomni sobie, że nosi on w sobie cechy dobrze mu znanej „Myśli Niepodległej" redagowanej przez ś. p. Andrzeja Niemojewskiego. Tak też jest w istocie.

„Polska Myśl Niezależna" wzrorowana jest na organie społeczno - politycznym, który przez wiele lat odgrywał doniosłą rolę w życiu publicznym narodu naszego, który, w dobie niewoli, a zwłaszcza w okresie rozbicia ideowego, dążył do wytworzenia nowego typu człowieka, obywatela, działacza, wypowiadającego walkę „owej niewoli wewnętrznej i owym swojskim rządom poczwórnego K (Kij, Koza, Koszary, Kruchta), mamiącym lud za pomocą latarni magicznej, w której przesuwają klisze swoich interesów, przemalowanych na interes narodowy".

To był rok 1906. Po 32 latach wydarzeń dziejowych świata i po 20 latach odrodzonego bytu niepodległego Polski myśl niezależna niema żadnej potrzeby wzorowania się na ówczesnej paryskiej „Lidze Wolnej Myśli", lecz nie mniej może być i będzie trybuną wolnego słowa i nieprzekupnych tendencyj, wynikających jedynie ze służby dobru publicznemu i dobrych oby-

czajów obywatelskich. Bo na straży tych obyczajów stać będziemy nieugięcie.

Wynika to znaszej myśli przewodniej i hasła, jakie zamieściliśmy (na stałe) pod tytułem naszego tygodnika. Chcemy bowiem, w dobie jednoczenia się narodu polskiego, być świadkami, że w Rzeczypospolitej Polskiej narasta i dominuje element obywatelski zdrowy moralnie, bo jaki obywatel — taka Rzeczpospolita.

Andrzej Niemojewski w pierwszym numerze „Myśli Niepodległej" pisał: A pismo takie jak nasze ,nim pocznie się je redagować, trzeba pierwej przeżyć.

Przeżyliśmy i my wiele uczuć, które upoważniają nas do podjęcia wydawnictwa w jakim już pięć lat temu powiadaliśmy:

Zdajemy sobie sprawę, że ludzie, aczkolwiek duszą się w atmosferze amoralności obyczajów, jednak dla świętego spokoju własnego, z racji lęku o utratę chleba, przestali się gorszyć złem.

Wszyscy się izolują w kręgu własnych interesów.

Zdajemy sobie sprawę, że nikt nikomu nie wierzy, wszędzie węsząc podstęp i omamienie, lecz przecież podświadomie tęsknimy za prawdą i uczciwością.

Zdajemy sobie sprawę, że słowo zostało w społeczeństwie zdewaluowane przez przekupniów prawdy i szarlatanów koniunktury społecznej, którzy inaczej piszą, a inaczej żyją.

Zdajemy sobie sprawę, że w dobie powszechnego załgania, gdzie funkcją społeczną stały się obłuda i kłamstwo, ważyć się na niezależność myśli i słowa — to więcej niż odwaga.

Lecz odwagę tę czerpiemy ze słów Najodważniejszego, który na zjeździe legionistów w Kielcach w roku 1926, mówiąc o odwadze myśli, oświadczył:

„Gdy staje się jakaś rzecz ważna, musi ona mieć myśl przeczącą temu, co jest. Dla tego jest ona nową. Gdy się myśli o innych prawdach, trzeba przyjść do przekonania, że dla nowej myśli trzeba mieć odwagę, trzeba przeskoczyć przeciętną prawdę wyznawaną przez ludzi.

...często lepiej jest myśleć za wcześnie, niż gdakać i siedzieć w błocie."

Dziś tego błota moralnego w Polsce coraz mniej, lecz gda-

cząсych nie brak. Pełno mamy zajazdów politykierskich, orędujących zbawienie kraju według własnej recepty, nierzadko fantastycznej, a nierzadko wzorowanej na plugawej robocie podziemnej.

Dla tego naszą myśl niezależną, myśl polską z ducha i treści, wypowiadać będziemy w odniesieniu do spraw, których doniosłość wynikać będzie z ich ogólnopaństwowego charakteru.

Co pierwej: cywilizacja czy kultura?

W deklaracji ideowej płk. Koca, tuż za zagadnieniem wsi i polskiego mieszczaństwa, figuruje sprawa kultury polskiej. Widzimy więc, że Rada Naczelna OZN, podejmując ostatnio uchwały w sprawie organizacji i upowszechnienia dóbr kulturalnych, stopniowo przechodzi do realizacji postulatów ideowych deklaracji. Pozostaje jeszcze zagadnienie mniejszości narodowych. Ale z tym to zapewne OZN nie będzie się spieszył.

Otóż według uchwał Rady Naczelnej OZN, aby podjąć dzieło upowszechnienia kultury polskiej — przez radio, film, książkę, prasę, teatr, plastykę, muzykę i śpiew — „potrzebna jest planowa, jednolicie kierowana akcja państwa, oparta o działalność zorganizowanych sił społecznych" i potrzebne jest „skupienie całości spraw kulturalnych w jednym ośrodku dyspozycyjnym."

„I tu jest pies pogrzebion"... — jak powiadają na Śląsku. Właśnie w tym ośrodku dyspozycyjnym.

Organy niezależne na tę koncepcję upowszechnienia kultury polskiej natychmiast zareagowały. I tak „Depesza" w wywodach swoich, potępiających zapędy dyspozycyjne, m. in. powiada:

„Nie jest to taka sprawa, jak naprzykład — kartel drożdżowy. Kartel można zorganizować i można go potem rozwiązać. Organizować zaś kultury nie można, gdyż kultura wyrasta sama, jak roślina, gdy jest pieczołowicie hodowana. Nie jest to przy tym zjawisko materialne, lecz bierze źródło swoje w duchu. Duch nie daje się jednak organizować przez ośrodek dyspozycyjny, jak to zapowiadają tezy. Można dać tysiąc dyspo-

zycji i nie wywołać ani jednego objawu kultury ducha."

I dalej:

„Czym bowiem ma dysponować ten nieszczęsny ośrodek? Czy stworzy w Polsce wolność? Nie będzie miał mocy. Czy podniesie zamożność mas? Na tym się nie będzie znał. Czy szerzyć będzie oświatę? Temu zadaniu nie da rady, jeżeli Skarb nie da budżetu dwa razy większego, niż posiada obecnie M. W. R. i O. P. Dysponować będzie ideałami, talentami czy przeżyciami? Więc znów pozostaje tylko mecenasostwo.

Dajmy więc pokój żartom i wielkim słowom! Zostańmy przy małym programie, ale realnym. Pomagajmy rozwojowi kultury, ale nie stwarzajmy ośrodka dyspozycyjnego, bo to będzie tylko jeden więcej urząd. Czy nie lepiej może rozszerzyć nieco i użyciowić wydział kultury w M. W. R. i O. P.?

Stałe powiększanie agend państwowych stwarza taką sytuację, że Rząd nie będzie wkrótce w fizycznej możności wejrzeć we wszystkie ich działy. Wytworzy się więc autonomizacja tych agend, gdzie każda jednostka będzie prowadziła własną politykę, oczywiście, personalną, niemal bez kontroli. Samo uzgadnianie tych agend już wyślizgnie się z pod dyrektywy ogólnej. Przyczyni się to do dalszego rozproszkowania energii.

A przecież nie o to chyba chodzi."

I nie o to, czego w tezach kulturalnych OZN dopatruje się „Słowo" wileńskie, pisząc:

„Będziemy mieli 'referentów, 'nadreferentów, kulturalnych dyrektorów ,izby kultury — wszystko to zatłamsi, zadusi, zasmrodzi wszelką działalność kulturalną, zbrzydzi ludziom książki i teatr, człowiek będzie marzył o cudzoziemskiej książce, tak jak obywatel Sowietów marzy i modli się do najgłupszego, najdurniejszego filmu amerykańskiego, wogóle do czegoś, coby nie wyszło z biur propagandy, coby stało zdala od oficjalnego szablonu."

Widzimy więc, że aż nadto dosadny lęk wyrasta przed zapowiedzią etatyzacji i stotalizowaniem kultury. I nie bez powodu, bo na tym polu akcja OZN pójdzie drogą najmniejszego oporu. Najszybsze będą rezultaty, mając dyspozycję i środki. Niczem to się dzieje w Radio. Pamiętamy bowiem niedawne czasy przed centralizacją i etatyzacją tej machiny.

A było tak: Znali tego lub owego człowieka, że coś umie. Napisali pocztówkę, czy też zatelefonowali, żeby przyjść, porozumieć się w sprawie audycyj, odnośny kierownik programowy pracę uzgodnił i produkował się człowiek w oznaczonych terminach. Wcale dobrze przytym honorowali. Aż przyszła centralizacja. Trzeba było referaty składać w oddziele, oddział posyłał do centrali, centrala przydzielała odnośnemu referentowi, wyznaczała termin, odsyłała i od poczęcia dzieła do jego zaprodukowania upływało trzy miesiące.

Czy w dziedzinie aktualności można produkować rzecz na trzy miesiące naprzód? Czy poddawanie się łańcuchowi bezdusznej kontroli jest komu miłe? Napewno nie. To też niejeden rezygnował z zaszczytu produkowania się na falach eteru i dzieje się tak, że przy studiach radiowych pęta się zazwyczaj paczka jednych i tych samych wyrobników, zanudzających słuchaczy radiowych banałem i bzdurami. A co lepsze „skrzynki", „kąciki" i „chwilki" piastują jedni i ci sami „dzierżykraje", co to właśnie w ośrodku dyspozycyjnym mają szerokie plecy.

Bo żeby tezy kulturalne OZN w pierwszym rzędzie zmierzały do oczyszczenia placówek kulturalnych z elementu dla polskiego ducha niepożądanego, to jeszcze pół biedy. Ale o tym się nie mówi. A element ten jest już dobrze w tych dotychczasowych ośrodkach dyspozycyjnych na polu kultury polskiej zasiedziały. Nosi coprawda pięknie brzmiące polskie imiona i nazwiska, ale po to tylko, aby głupiego goja omamić, wyprzedzić i wykorzystać.

Dla tego niechże Rada Naczelna OZN pierwej realizuje tezy programowe odnośnie wsi polskiej, bo tam jest pracy co niemiara. Tam tak z tezami kulturalnymi niema się co spieszyć, bo tych wzniosłych celów będzie naraz za dużo.

Wsi polskiej potrzeba cywilizacji przede wszystkim. Niech podąża chociażby za ziemiami zachodnimi Polski, niech się niweluje przepaść między Polską A a Polską B.

Bo spójrzcie na Wielkopolskę, na Poznań. Tam chociaż dzisiaj sytuacja gospodarcza jest nie najlepsza, ale artysta malarz jeszcze kilka obrazków sprzeda, jest komu grać lub śpiewać, a Radio największą ilość abonentów stamtąd czerpać poczęło. A wszystko dla tego, że mieszkaniec zachodnich ziem Polski był

w pierwszym rzędzie ucywilizowany, umiał czytać i pisać, mieszkał i jadł po ludzku, więc mu do pożywki kulturalnej było niedaleko.

Bierzcie się więc, Panowie, do realizacji zamierzonego programu odnośnie wsi polskiej, bo ten program jest wcale piękny i zajmujący, a tak ogromny, że gdy chociaż w połowie go zrealizujecie, to potomność będzie Was wdzięcznie wspominać.

A szczególnie ten element społeczny, który w dziedzinie swojskiej, regionalnej kultury ma i tak wiele pięknego dorobku, a na polu cywilizacyjnym ciągle bytuje jak aziata.

Siły masonerii?

Przypadkowo wpadł nam do ręki jeden z tygodników wielkopolskich ze stycznia 1934 r., który, kpiąc sobie wówczas z zakłopotania, jakie objawiała prasa prawicowa z racji rozrostu masonerii, podał za praskim „Prehledem" zestawienie ilości lóż masońskich i liczby ich członków. Jak z tego zestawienia wynika, na całym świecie działa 29.518 lóż, które grupują 4.539.535 członków.

Największą liczbę masonów posiada Ameryka północna — 18.000 lóż z 3.509.000 członków. W Ameryce środkowej znajduje się 314 lóż z 35.000 członków. W Ameryce południowej — 639 lóż z 50.000 członków. Najmniej masonów liczy Afryka — 86 lóż z 4.500 członków. Jeśli chodzi o pozostałe części świata pozaeuropejskie, to Azja liczy 102 loże i 7.000 członków, a uboga naogół w ludność Australia aż 2.020 lóż i 192.300 członków.

Cała Europa posiada 8.357 lóż i 741.725 członków. Według państw przedstawia się to następująco: Anglia — 4.462 loże i 400.000 członków; Belgia — 25 lóż i 4.500 członków; Bułgaria — 18 lóż i 500 członków; Czechosłowacja — 37 lóż i 1.805 członków; Dania — 32 loże i 8.310 członków; Francja — 674 loże i 47.500 członków; Hiszpania — 123 loże i 6.829 członków; Holandia — 129 lóż i 8.225 członków; Irlandia — 679 lóż i 70.000 członków; Jugosławia — 26 lóż i 1.000 członków; Luksemburg — 1 loża i 110 członków; Niemcy — 772 loże i 76.360 członków; Norwegia — 23 loże i 11.105 członków; *Polska* —

11 lóż i 450 członków; Portugalia — 79 lóż i 5.000 członków; Rumunia — 54 loże i 3.350 członków; Szkocja — 1.107 lóż i 59.000 członków; Szwecja — 30 lóż i 22.120 członków; Szwajcaria — 39 lóż i 5.000 członków; Turcja — 23 loże i 2.300 członków; Austria — 22 loże i 1.790 członków.

Pytanie tylko, dla czego Polska w tej tabeli statystycznej figurowała na ostatnim miejscu, bo przecież dzisiaj ogólnie określa się liczbę masonów w Polsce na ponad dwa tysiące ludzi. Przynajmniej taką relację zdawał b. premier Kozłowski. Czyżby więc wpływy masońskie, a co za tym idzie i liczba masonów, w ostatnich latach w Polsce wzrosły? Kto to wyjaśni?

Ale nietylko to. Chodzi o wyraźniejsze skonkretyzowanie akcji masońskiej w odniesieniu do polskiej racji stanu. Chodzi o ujawnienie jej planów działania nietylko w ogólnych zarysach — a w szczegółach. Kto, jak, kiedy i gdzie? Bo to wszystko, co dotychczas przeniknęło do opinii publicznej jest tak zagmatwane, że chłopski rozum tego nie pojmie. Pamiętamy przecież tę głośną enuncjację Marszałka Piłsudskiego o „obcych agenturach". Prawie, że była dla ogółu zupełnie niepojęta. I nie skomentowano jej. Za wyjątkiem kilku starych politykierów ze stronnictwa narodowo-demokratycznego, którzy zarzut ten przyjęli pod swoim adresem. I „obce agentury" szybko zatarły się w niepamięci.

To też i dzisiaj, mimo powszechnego zaciekawienia, jakie wywołały ostatnie relacje i dyskusja dokoło sprawy masońskiej, mimo uruchomienia specjalnej agencji antymasońskiej, mimo interpelacji w Sejmie i mimo dobrych chęci wielu studiujących tę sprawę, „obce agentury" wymykać się będą ze świadomości publicznej, bo w tym galimatiasie pojęć i komentarzy dokoła tej sprawy nie zabierają głosu ci, od których należało by się spodziewać, że coś o akcji masońskiej wiedzą konkretnego.

Nawet nie rzucono banalnej zapowiedzi podjęcia „energicznych dochodzeń". Jedynie „Gazeta Polska" problem masonerii sprowadziła do... zagadnienia tajnych stowarzyszeń, czyli mafii wogóle.

I znów narosło jedno nawarstwienie na skamielinie tajemnicy wolnomularstwa, bo nie bez powodu symbolem jego jest postać, trzymająca palec na ustach i nakazująca milczenie.

Tragiczne miasto

Czy pan zna Łódź?

Znam. Okropne miasto. Co za bruki!

Taką odpowiedź dają zazwyczaj ludzie. Wystarczy bowiem przejechać z dworca kaliskiego na fabryczny, aby ustalić tę smutną opinię o mieście, które liczy 665 tysięcy mieszkańców i odgrywa tak doniosłą rolę w życiu gospodarczym i społecznym Polski.

Na nic się zdadzą szlachetne porywy bardów łódzkich, usiłujących opiewać romantyczną legendę historii tego miasta, na nic się zda akcja propagandowa Łodzi w dziedzinie turystyki, nie pociągną nikogo ani dwa wspaniałe parki tego miasta, ani jego ogromny przemysł, ani żadna rzecz, która jego jest, bo Łódź — to jej bruki. Fatalne i wiecznie rozkopane. Od lat i na długie lata.

Ale czy tak musiało i musi być?

Napewno nie. Nawet biorąc pod uwagę specjalną strukturę budowlaną Łodzi i fakt, że rozrastała się ona w sposób dziki, raptowny, bez żadnych planów regulacyjnych i bez uwzględnienia elementarnego uzbrojenia terenowego, do których cywilizowany świat zalicza: kanalizację, wodociągi, gaz i przewody oświetleniowe.

Łódź już po wojnie światowej nie miała gospodarza i stale wymykała się z rąk zarządu miejskiego. Wystarczy przyjrzeć się peryferiom tego miasta, gdzie dzikie budownictwo i urbanistyka z nieprawdziwego zdarzenia czyniły, co chciały. A pan naczelnik w wydziale budowlanym, bodajże inż. Goldberg, popisywał się w międzyczasie w Filharmonii łódzkiej grą na skrzypcach. Zresztą pozbyto się go, ale w wydziale budowlanym nadal panowały melodyjne nastroje. Bo na każde wytknięcie palcem absurdów budowlanych wytaczano setki argumentów usprawiedliwiających. Przesiedzieliśmy tam niejedną godzinę i nasłuchaliśmy się tego po same uszy.

Pamiętamy takie wydarzenie z przed trzech lat:

Gdy kładziono trwałą nawierzchnię na odcinku ul. Piotrkowskiej, między Nawrot a Główną, zapytywaliśmy w tymże wydziale budowlanym: Panie inżynierze, czy tylko aby nie bę-

dziecie znów rozkopywać po upływie roku lub dwuch? Czy aby nie zapomnicie znów jakich przewodów?

Napewno nie. Ta nawierzchnia leżeć będzie conajmniej 20 lat. Zresztą, to droga inwestycja — uspokojono nas.

Ulica na tej przestrzeni wyglądała pięknie. Przyłączono przewody kanalizacyjne i położono nowe, betonowe chodniki.

I wystarczył rok, aby w przejeździe przez ten odcinek ulicy nie wyskoczyć z podziwu z tramwaju. I nie wyskoczyć z wściekłości ze skóry. Nowe chodniki znów rozkopane!

Co się stało? — zapytujemy pierwszego z wtajemniczonych. Znów czegoś zapomniano?

Niczego nie zapomniano, tylko miasto otrzymało nowe kredyty i wymienia rury wodociągowe. Bo tamte były za cienkie, a obecne będą trwalsze.

Tak to w Łodzi do niedawnych czasów budowano, eksperymentowano, przeciągano i zaciągano, co kto chce i jak kto chce. Elektrownia sobie, gazownia sobie, tramwaje sobie, telefony sobie i t. d.

A wydział budowlany magistratu nic, tylko się usprawiedliwiał i zalecał wnikać w osobliwą strukturę tego miasta.

Nawet w ostatniej dobie to nie ustało. Tymczasowy prezydent Łodzi p. Godlewski, referując przedstawicielom prasy sprawę naprawy ulic łódzkich, tak tłumaczył (według I.K.C.) udrękę mieszkańców rozkopanej na poważnej długości ul. Piotrkowskiej:

Okazuje się, że sprawa uporządkowania ulicy jest zagadnieniem bardziej skomplikowanym, niż się to wydaje. Nim bowiem doszło do uporządkowania ulicy — powiedział prez. Godlewski — trzeba było stoczyć batalię z siedmioma „mocarstwami" łódzkich podziemi. Pod powierzchnią bowiem ulicy znajdują się: kable elektryczne, telegraficzne, telefoniczne, tramwajowe, przewody gazowe, przewody oświetleniowe oraz, rzecz dość sensacyjna, mianowicie kabel telefoniczny indoeuropejski, za pośrednictwem którego premier Anglii rozmawia z Kalkutą. Dopiero po uporządkowaniu tych przewodów podziemnych mogła się rozpocząć praca nad budową nawierzchni."

Widzicie więc Państwo, że teraz indoeuropejski problem

jest usprawiedliwieniem udręki mieszkańców Łodzi. I tak zawsze było coś w tym rodzaju.

Ale to nie rozwiązuje sprawy dobrej opinii tego miasta. Rozumiemy świetnie, że każdy z dotychczasowych czy tymczasowych włodarzy Łodzi miał jak najlepsze chęci i nadzieje na efekt położonej dla miasta pracy. To wszystko jednak mało.

Łodzi potrzeba entuzjasty, wielkiego budowniczego, fanatyka i miłościwego ojca w jednej osobie, który by to miasto kochał i oddał mu wszystkie swoje siły. To musi być człowiek dzielny i na tamtym gruncie wyrosły. Inni będą odrabiali tylko większe lub mniejsze kawałki, licząc na błogostan emerytury po dziesięciu latach. I nic więcej.

Ponadto na Łódź winny zwrócić uwagę nasze czynniki rządowe. A w szczególności pan wicepremier Kwiatkowski, bo Łódź ma dużo podobieństwa do Gdyni czy też C. O. P. Łodzi potrzebna jest jakaś amnestia podatkowa, która by umożliwiła zużyć te pieniądze na poprawę stanu tego miasta. Lecz od razu, z rozmachem, tak jak to w niejednym wypadku nasz rząd zdolny jest czynić. Bo paliatywy Łodzi nie uratują. Ani nadchodzące wybory również.

GODNE BACZNIEJSZEJ UWAGI

z łamów prasy polskiej ub. tygodnia:

Jak Czesi wyobrażają sobie przyszłą wojnę?

Londyn, w sierpniu.

Z książek i publikacyj, jakie pojawiły się w języku angielskim na temat Czechosłowacji w ciągu b. r., możnaby dzisiaj złożyć małą bibliotekę. Są tu prace dyktowane przez czystą aktualność, pisane przeważnie w duchu alarmistycznym, są także rozważania na szerszą skalę, jak znakomita robota Miss Elisabeth Wiskeman, — starające się ująć spór niemiecko-czeski na płaszczyźnie dziejowej.

Niema miesięcznika ani tygodnika w Anglii, któryby nie zamieścił w ostatnich czasach wywodów na temat sudecki, któryby nie prowadził dyskusji na temat polityki czeskiej, lub polemiki o obronność Czechosłowacji. Londyn jest dosłownie zarzucony doniesieniami z Pragi, korespondencjami z Czechosłowacji, analizami najtęższych znawców problemów środkowej Europy. Wspaniale zorganizowana publicystyka angielska przoduje — jak zresztą zawsze — jeżeli idzie o bogactwo i wszechstronność ujęcia politycznego momentu, któremu na imię: Czechosłowacja.

Z powodzi raportów i oświetlań wyjmijmy dzisiaj jeden przyczynek, skreślony piórem członka czeskiego sztabu generalnego i profesora czeskiej akademii wojennej w Pradze, płk. Stanisława Yestera. Ogłosił on świeżo na łamach czeskiego periodyku amerykańskiego „New Masses" (New York) artykuł, omawiający siłę militarną Czechosłowacji oraz szanse, jakie posiada ona w starciu z Rzeszą. Jasno i przejrzyście napisany szkic jest tym cenniejszy, że operuje danymi niemieckimi. Jak słusznie zaznaczyła redakcja „New Masses" wolno przypuszczać, że niemieckie dane nie odzwierciadlają w pełni sprawności i siły czeskiej maszyny wojennej i że należy raczej oceniać ją wyżej i korzystniej, aniżeli chcą eksperci berlińscy.

Płk. Yester zaznacza na wstępie, że Czechosłowacja może być wmieszana w dwie akcje wojenne: przeciwko Rzeszy na zachodzie i przeciwko Węgrom na południu. „Starcie militarne z Węgrami — twierdzi on — jest nieprawdopodobne. W stosunku do Węgier Czechosłowacja dysponuje dwukrotną większością."

Inaczej ma się sprawa z Rzeszą, która dystansuje Czechosłowację wielokrotnie pod względem siły militarnej. Dlatego też płk. Yester zaznacza, iż z racji tej przewagi oraz ujęcia Czechosłowacji w kleszcze niemieckich granic, może ona myśleć tylko o „stworzeniu najlepszych możliwie militarnych, politycznych i ekonomicznych warunków dla czasowej walki z przeważającą siłą niemiecką".

Jak wyobraża sobie członek czeskosłowackiego sztabu generalnego FAZY STARCIA Z RZESZĄ? Uderzenie niemieckie na lądzie i w powietrzu zaabsorbuje całą energię wojenną Czechosłowacji.

Jeżeli idzie o lotnictwo, to płk. Yester jest zdania, iż lotnictwo czeskie, jak i obrona powietrzna „przeżyją wiele ciężkich dni, zanim nadejdzie pomoc lotnicza Francji i Rosji, (?) dając nam przewagę w powietrzu dla kontynuowania walki".

Armia lądowa będzie musiała wytrwać i wytrzymać atak niemiecki przez parę tygodni, zanim „armie naszych sojuszników nie wedrą się na terytorium niemieckie i nie zmuszą niemieckiego sztabu do skierowania głównej siły przeciwko tej interwencji. Decydująca bitwa, która zacznie się nad Renem w trzecim lub czwartym tygodniu wojny z Pragą, zamieni w rezultacie czechosłowacki teren walk w terytorium drugoplanowanego znaczenia".

KALEDARZYK OPORU CZESKIEGO wygląda według płk. Yestera tak oto: 2 do 3-ch dni samodzielnego oporu przeciwko niemieckim siłom na lądzie i w powietrzu, 2 do 3-ch tygodni samoistnej obrony przeciwko naciskowi armii lądowej Rzeszy.

Płk. Yester nie wierzy w wypowiedzenie wojny przez Rzeszę. „Nieprzyjaciel — wywodzi on — będzie usiłował przez nagły atak zmechanizowanych jednostek armii oraz naloty eskadr lotniczych przedrzeć się przez nasze fortyfikacje pograniczne i sparaliżować mobilizację oraz koncentrację naszych wojsk".

Fachowiec czeski jest głęboko przekonany, iż w starciu z Czechosłowacją Rzesza będzie miała do czynienia z dwoma frontami: zachodnim: Francja oraz wschodnim: Czechosłowacja i Sowiety. Gdyby lotnictwo nie było tak rozwinięte, — tłomaczy płk. Yester, — i gdybyśmy nie mieli do czynienia z istnieniem prawdziwych armij powietrznych, — Rzesza uciekłaby się do powtórzenia planu Schlieffena: ofenzywa na Zachodzie i defensywa na Wschodzie.

Front wschodni, przyznaje płk. Yester, nie jest dla Rzeszy groźny, a to zarówno z racji relatywnej słabości Czechosłowacji, jak i faktu, że „Rosja jest zadaleko".

Samolot zmienia jednak, według speca czeskiego, radykalnie sytuację z r. 1914. Czechosłowacja — akcentuje płk. Yester — stanowi rodzaj awiomatki, statku transportującego samoloty (airplane carrier), wysuniętego głęboko w zatokę zwaną Niemcami. Dlatego to niemiecki sztab generalny musi dążyć do najszybszej likwidacji baz lotniczych w zachodniej połaci Czechosłowacji i to przed starciem z siłami obu przypuszczalnych sojuszników Pragi. Czeski sztab generalny musi ze swej strony zrobić wszystko, ażeby oprzeć się pierwszemu atakowi przeważającej siły powietrznej niemieckiej na te bazy w okręgu zachodnim i ażeby zyskać na czasie".

Płk. Yester oblicza, że przedarcie się przez czeską linię obrony wymagać będzie ze strony Rzeszy bardzo starannego

przygotowania oraz przeszło dwukrotnej przewagi liczebnej. Część granic Czechosłowacji jest tak umocniona, że wytrzyma napór nieprzyjaciela, dopóki nie zostanie przeprowadzona mobilizacja i koncentracja wojsk. Fortyfikacje pograniczne — twierdzi płk. Yester — są tak urządzone, iż mogą służyć za punkty oparcia i operacji dla armii, gdy ta zostanie już raz zmobilizowana i skoncentrowana. Tak jak w r. 1914 francuskie fortyfikacje pograniczne na Marnie chroniły wschodnią flankę armii, tak umocnienia na Morawach i we wschodniej Czechosłowacji osłonią skrzydło i tyły wojsk czeskich od ataku z zachodu.

Obliczenie to, wyznaje lojalnie płk. Yester, — ma jedną lukę: oto istnieje możliwość, że mobilizacja przyjdzie zapóźno i że w międzyczasie „obcęgi niemieckie zamkną się na wschodnich Czechach".

Zdając sobie doskonale sprawę z tej groźby, czeski sztab generalny uznał, że głównym zadaniem obrony jest utrzymanie stałej łączności między komendami na zachodzie i na wschodzie. W tym celu zbudowano niedawno doskonałe — zdaniem czeskiego fachowca — fortyfikacje wzdłuż północnych i południowych granic Moraw. Umocnienia te stanowią klucz obronności Czechosłowacji. Płk. Yester wyraża przekonanie, iż umocnienia te potrafią wytrzymać napór nieprzyjacielski nie tylko parę dni, ale parę tygodni.

Opierając się na źródłach niemieckich, które podają siłę powietrzną Francji na 5.000 aparatów, Sowietów na 9.000, Czechosłowacji na 1.400, — płk. Yester liczy na przysłanie 3.000 bombowców sowieckich (?) na pomoc Pradze. Ponieważ nowoczesny bombowiec, — pisze sztabowiec czeski — jest niemal równy walorom dalekonośnemu działu, tego rodzaju pomoc stanowić będzie wybitne zasilenie czeskiej „siły ognia" (volume of fire).

Armia czeska będzie miała dwojakie zadanie: obronę — w miarę możności — granic oraz takie manewrowanie, ażeby nie ulec oskrzydleniu przez nieprzyjaciela. Górski charakter pogranicza Czechosłowacji odda niejedną usługę obronie, tam zaś wszędzie, gdzie teren jest łatwy do przemarszu dla jednostek zmechanizowanych, fortyfikacje blokować będą drogę najeźdźcy.

Płk. Yester zastrzega się, że nie może ze zrozumiałych powodów zacytować dokładnych cyfr, ilustrujących rzeczywisty stan czeskiej maszyny militarnej. Odwołuje się on do źródeł niemieckich, które oceniają czeską siłę zbrojną na stopie pokojowej

na 180.000 chłopa. W razie powszechnej mobilizacji CZECHOSŁOWACJA MOŻE SKUPIĆ POD SZTANDARAMI DO PÓŁTORA MILIONA ŻOŁNIERZA.

„Ponieważ armia nasza — wywodzi płk. Yester, — pomyślana jest głównie dla celów obronnych (pozostawiamy zadania ofensywy naszym sprzymierzeńcom), przeto czeska siła powietrzna stanowi część składową armii lądowej, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych i nie jest wyodrębniona. Niemcy twierdzą, że nasze brygady górskie oraz kawalerii należy uważać za dywizje. Jeżeli tak jest, to na stopie pokojowej armia Czechosłowacji liczy 22 dywizje; cyfrę tę można podwoić odrazu przez wstępną mobilizację. Większość niemieckich ekspertów wojskowych uznaje, że Czechosłowacja potrafi wystawić 40 doskonale uzbrojonych dywizyj na wypadek konfliktu".

Płk. Yester ocenia nader optymistycznie czeskie możliwości zaopatrzenia w materiał wojenny. Zaznacza on, że Czechosłowacja odziedziczyła 75 procent ciężkiego przemysłu Austro - Węgier, który zaopatrywał przeszło 90 dywizyj austriackich w czasie wojny światowej. Wynika z tego, że Czechosłowacja będzie mogła nie tylko wyposażyć swoich 40 dywizyj, ale i zaopatrzyć w materiał wojenny „conajmniej 30 dywizyj naszych sprzymierzeńców".

W czasie wojny światowej zakłady Skody konkurowały stale z niemieckim przemysłem wojennym. Działa 30,5 cm. produkowane przez Skodę okazały się skuteczniejsze w działaniu, aniżeli słynna „gruba Berta" (42 cm.). Płk. Yester akcentuje, że „armia czeska jest po niemieckiej i włoskiej najlepiej uzbrojoną w środkowej Europie".

Według danych niemieckich z marca 1938 r. armia czeska dysponuje 450-ciu ciężkimi działami. Cała czeska artyleria ciężka jest zmotoryzowana.

„Deutsche Wehr" podaje świeżo, że w dobie wojny armia czeska będzie posiadała „400 moździeży, ponad 1.500 lekkich dział i 600 ciężkich dział". Źródła niemieckie podają ilość lekkich karabinów maszynowych na 3.500, tanków na ponad 400. Uzbrojenie i utrzymanie armii czeskiej pochłonęło od r. 1919 sumę 50 miliardów koron czeskich. — Połowę tej sumy wydano w ostatnim pięcioleciu. Normalny budżet wojskowy na r. b. opiewa na 2, 100.000.000 koron czeskich, nadzwyczajny jest o 300 milionów wyższy. Cały budżet państwa opiewa na sumę 10 miliardów kcz.

Płk. Yester cytuje fachowców niemieckich, którzy w ten sposób dzielą CZESKĄ SIŁĘ POWIETRZNĄ, ZŁOŻONĄ Z 1.400 APARATÓW: 320 samolotów wywiadowczych, 130 bojowych, 180 pościgowych, 120 bombowców do bombardowania w ciągu dnia, 130 apartów do bombardowania w nocy. Razem daje to 90 eskadr, każda po 10 do 14 maszyn. Ciężkie aparaty budowane są według licencji francuskiej, lekkie samoloty są konstrukcji czeskiej. Motory produkowane są w kraju (patent Waltera). Ilość lotnisk oceniają źródła niemieckie na 66.

Wiemy — kończy swoje wywody płk. Yester — że Rzesza chce użyć w najbliższej wojnie innej metody walki, aniżeli w r. 1914. Wtedy rzuciła w pole 120 dywizyj. W ciągu trzech lat wojny Niemcy podwoili tę cyfrę. Nowa teoria militarna niemiecka głosi, iż należy wystawić odrazu maksimum dywizyj i uderzyć maksimum siły. Niektórzy teoretycy niemieccy mówią, że Rzesza potrafi uruchomić natychmiast 240 dywizyj, nie brak takich, którzy „windują" żądanie powiększenia sprawności aż na 300 dywizyj, które zaraz u progu operacyj wojennych należy rzucić na szalę.

Nie ulega kwestii, że tego rodzaju masa potrzebuje niezwykle „rozległego zaplecza", przygotowania w surowcach i pracy. „Armia złożona z 300 dywizyj — wnioskuje płk. Yester — to 6 MILIONÓW LUDZI W POLU ORAZ 12 MILIONÓW ROBOTNIKÓW, zajętych tylko dziełem wojny w zapleczu".

Czechosłowacja nie może przeciwstawić niemieckiej teorii wojny totalnej ani w części tak wielkich resursów, jednakże — według płk. Yestera — uczyniła wszystko, ażeby na wypadek konfliktu maksimum mężczyzn, przeszkolonych wojskowo, mogło opuścić warsztaty pracy bez szkody dla biegu maszyny. Przerzuciła część przemysłu zbrojeniowego w okręgi oddalone od pogranicza (nad Wag), przygotowała przejęcie przez rząd na wypadek konfliktu wszelkich działów przemysłu, potrzebnych dla obrony kraju. Czechosłowacja jest samowystarczalna, jeżeli idzie o zboże, mięso, cukier, alkohol. Ropę czerpać będzie na wypadek wojny z Rumunii.

*
* *

Przedstawienie płk. Yestera dowodzi dla objektywnego obserwatora dwóch rzeczy:

1) Czechosłowacja nie jest łatwym orzechem do zgryzienia pod względem militarnym, o czym zresztą doskonale wiedzą sfery wojskowe Rzeszy,

2) Czechosłowacja zasadza całą swoją obronę i przetrwanie na pomocy obcej, uważając, że teren wojenny czeski musi być wstępnym epizodem ogólnego natarcia. Czechosłowacja nie dopuszcza możliwości, że będzie inaczej.

Końcowe zdanie pouczającego artykułu płk. Yestera brzmi wielce znamiennie: „ostateczne zwycięstwo jest zawsze udziałem silniejszych batalionów, a przewaga będzie przecież po stronie naszych sojuszników".

Zbigniew Grabowski

(„Il. Kurier Codzienny")

U W A G A !

Każdy obywatel, któremu dobro Rzeczpospolitej na sercu leży, spotkawszy się z objawami zła w życiu publicznym, winien się temu złu odważnie przeciwstawić. Winien stanąć na straży etyki obyczajów obywatelskich i uczciwie pojętego dobra.

Łamy Polskiej Myśli Niezależnej stoją do jego dyspozycji.

Zwracamy uwagę, iż artykuły nasze są bezimienne, za które odpowiada redaktor pisma. Jednakże wszelkie rękopisy do nas nadsyłane muszą być opatrzone pełnym imieniem i nazwiskiem wraz z podaniem dokładnego adresu. Każda rzecz musi być poparta nieprzekupną prawdą.

Rękopisów się nie zwraca. — R e d a k c j a.

POLSKA MYŚL NIEZALEŻNA

tygodnik, wychodzi w każdą sobotę. Warunki przedpłaty: kwartalnie — zł. 2.50; półrocznie — zł. 5; rocznie zł. 10; z dostawą do domu.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Wilcza Nr. 16, m. 28.

Redaktor przyjmuje interesantów od godz. 16—19-ej. Tel. 9-53-56.

Redaktor i wydawca: Jan Kozubski, Warszawa.

Zakłady Graf. „St. Skierkowski i Sp. z o.o." Warszawa, Hoża 55, tel. 7.22.05.